

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



DWIE BABUNIE.

Przy smacznej kawie, w pokoju mamy,
Siedzą przy stole dwie słuszne damy.
Dość spojrzeć, zaraz myśl się nasunie,
Że to sędziwe jakieś babunie.
Na głowach, gdzie się piętrzy włos krótki,
Suto upięte czarne zarzutki,
Wyraz pogody oblicza stroi,
Jak na tak późne lata przystoi.

Wzrok też powagi dopełnia miary,
Tylko, że jakoś te okulary,
I tak dość dziwne przy ciennych włoskach
Nie chcą spokojnie siedzieć na noskach,
Dość, że przy każdym głowy obrocie,
Bywają babcie w wielkim kłopotcie.
A oczki co tam z za szkiełek błyszczą,
Do reszty wieku złudzenie niszczą.

Bo jak się z śniegiem nie zgadza kwiatek,
Tak i wdzięk świeży dziecięcych latek,
Choć nieraz starość udawać skory,
Próżno jej złudne bierze pozory,
Bo stąd naukę tylko otrzyma:
Że zawsze lepsza wiosna, niż zima.

NA ZIEMI I POD ZIEMIĄ.

(Z wędrówki po kraju).

(Dalszy ciąg).

Zbliżając się do Dąbrowy, spostrzegamy tuż przed sobą, wpośród prawdziwego lasu wysokich kominów, okrągłe baszty z czerwonej cegły, przypominające groźne zamczyska średniowieczne. Z wnętrza ich dolatują dziwne odgłosy, złożone z syku, gwizdania, łoskotu i czegoś podobnego do tłumionych jęków. Idźmy jednak śmiało, niema tam ani marsowatego burgrabiego z pękiem kluczy za pasem, ani złowrogiego karła, ani dozorców więzień; czarne, wysokie postacie z naprężonymi mięśniami i twarzami, zda się płonącymi od ognia, jakie tam napotykamy, nie zbliżają się ku nam z myślą wyrządzenia krzywdy. Znajdujemy się bowiem w przybytku najpożyteczniejszej pracy, przynoszącej prawdziwy zaszczyt tegoczesnemu przemysłowi. Są to tak zwane wielkie piece, gdzie ruda żelazna przy pomocy spotęgowanej siły ognia, przetapia się na surowiec. Po dokonaniu tej wstępnej czynności, nieczysta jeszcze kruszczowa masa, ognistą lawą spuszcza się do dalekiego, przezuaczonego na ten cel zbiornika, ażeby po wystygnięciu, dostać się do innego oddziału kuźnicy, zwanego przydługarnią, dla powtórnego przetopienia. Łoskot, pisk, jęk i gwizdanie, jakie słyszeliśmy zdaleka, pochodzą od działalności olbrzymich maszyn parowych, obracających ogromne koła i poruszających walce i potężne młoty, ułatwiające oczyszczenie i kucie żelaza. A cóż dopiero powiemy o walcowni, gdzie robotnicy podobni do owych bajecznych cyklopów, pracujących w kuźni bożka Wulkanu, w głębi góry Etny, ciągną potężnymi hakami pasy czerwonego żelaza i przerzucają takowe przez olbrzymi wałek wirującego koła, a w końcu rozciągają na ziemi w postaci wstęg ognistych, czyli sztab, przeznaczonych do rozmaitego użytku. Łatwo sobie wyobrazić, jakiego to natężenia muskułów wymaga podobne zajęcie, i jak silnego potrzeba zdrowia, ażeby przez kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt lat z rzędu, znosić nie tylko tę gorącą atmosferę, ale i owe wyziewy, wywiązujące się przy bezustannem topieniu i oczyszczaniu kruszczów. Jak niezmiernie oślepiającym jest tutaj blask ognia, można osądzić z tego, że jeżeli któryś z ciekawych gości zwiedzających fabrykę, pragnie obejrzeć piece, gdzie się żelazo na stal przetapia, miejscowi robotnicy podają mu szkło błękitne, bez którego mógłby się narazić na nadwężenie wzroku, patrząc wprost na ognisko.

Nie przesadziliśmy więc, nazywając te miejsca przybytkiem pożytecznej pracy, za pomocą której przemysł i sztuka nowoczesna dzieł wielkich dokonywa. Bezustanne prace i badania uczonych, przyczyniając się do postępu na tej drodze, dojdą do coraz większego oszczędzania sił ludzkich i uproszczenia pracy. Żelazo jako najpożyteczniejszy kruszec, znanem było oddawna prawie wszystkim narodom na ziemi, a stopniowe udoskonalenie sztuki topienia go i przerabiania na broń i narzędzia rolnicze, jest ściśle połączone z dziejami cywilizacji.

Ochłonawszy z wrażeń doznanych przy zwiedzaniu fabryki żelaza, idziemy dalej ku Będzinowi. Po drodze napotykamy jeszcze tak zwane odkrywki. W niektórych miejscach dąbrowskiego zagłębia, pokłady węgla znajdują się w położeniu prawie pionowym, tak, że dosyć jest odrzucić warstwę glinianego łupku, jaki je pokrywa, ażeby się do nich dostać. Ztąd też niektórzy przedsiębiorcy korzystając z tak dogodnych dla siebie warunków, poszukują w ten sposób owych niezbyt głęboko poukrywanych skarbów. Przykro jest jednakże stojąc gdzieś na wyższym punkcie, spoglądać na mrówczą pracę takiej gromady ludzi, wytaczających do góry po dość wąskich deskach, często nawet ze znacznego zagłębienia, ciężkie taczki ilowatej ziemi. Chęć zarobku spowodowała do tego mozolnego zajęcia nie tylko dojrziałych

mężczyzn, ale i nieletnich chłopaków, a niekiedy nawet i kobiety. Na samym już krańcu drogi ku Będzinowi, znajduje się znowu cały szereg hut cynkowych, w których się przetapia galman, dostarczany z kopalni olkuskich. Będzin niegdyś miał dla Dąbrowy większe niż dziś znaczenie. Przed zbudowaniem bowiem kościoła należała do niego obecnie oddzielona parafia; istniała tam również przez pewien czas, kasowana później szkoła górnicza. Jako wydatna pamiątka dawnych stosunków, istnieje do dziś dnia jeszcze na cmentarzu, znajdującym się przy samym wejściu do miasteczka, grób z kamiennym krzyżem, noszący następujący napis: „Wincentemu i Franciszkowi, braciom Borejskim, oraz Ignacemu Pruchnickiemu, górnikom, w dniu 25 maja 1836 r. między godziną 5-tą a 6-tą, przy opuszczeniu góry, węgiel kamienny podtrzymującej, w kopalni Reden pod Dąbrową, gruzem zawalonym: urzędnicy, górnicy, hutnicy i inni towarzysze braterscy, z dobrowolnych ofiar, pomnik ten wzniesli”.

Prosty ten grobowiec zawiera wspomnienie bardzo smutnego wypadku, jaki się zdarzył przy zawaleniu części ziemi z wybranych już do szczętu pokładów węglowych. Czynność tę, nazywaną naówczas rabunkiem, uskuteczniłano przez podcinanie słupów, skutkiem czego sklepienie samo się zapadło, a ponieważ trzej wyżej wymienieni górnicy nie zdołali usunąć się dość prędko przy zawaleniu się łupkowej masy, przeto zostali zasypani gruzami, z pod których dopiero później wyciągnięto ich zwłoki. Teraz już podobnych wypadków nie bywa, ponieważ przy opuszczaniu takich wybranych kopalni, górnicy zasypują próżnię ziemią, nim przystąpią do wyciągania podstaw podpierających sklepienia.

Opuściwszy cmentarz, napotykamy malowniczo wznoszący się na wysokim wzgórzu zamek, odrestaurowany w r. 1836, przez długi czas używany na rozmaite cele. Istniały w nim kolejno: szpital, kaplica ewangelicka i szkoła górnicza, obecnie zaś stoi pustkami i tylko odwieczne jego mury przeglądające się w nurtach płynącej u stóp Czarnej Przemszy, wspaniały przedstawiają widok. Samo miasteczko Będzin, liczące około 6,000 mieszkańców, jakkolwiek dość ożywione i porządnie zabudowane, nie przedstawia nic więcej zasługującego na uwagę.

Mówiąc o malowniczych okolicach Dąbrowy górniczej, niepodobna jest pominąć Grodzca, którego wzgórze uwiecznione wieżycami kościoła św. Trójcy i kaplicy św. Doroty, zdaleka już mile wabią oko. Jest to kwitnąca osada, gdzie się znajdują fabryki cementu, nie ustępujące zagranicznym.

Chcąc nie chcąc musimy znowu powrócić do Dąbrowy, o której dałoby się jeszcze niejedno powiedzieć, ale nie mamy już na teraz czasu, bo zdala już widnieje przed nami bieluchny pas bitego gościńca, prowadzący prosto do Olkusza. Wapień, jakiemu zawdzięcza swą jasną barwę, nie jest zbyt miłym dla podróżnych, z powodu wydzielania subtelnej kurzawy, szkodliwej dla wzroku i odzieży.

Górnicy dąbrowscy noszą malowniczy ubiór złożony z krótkiej, czarnej bluzy z pelerynką, przepiętej rzemiennym pasem, na którego klamrze widać znowu młot skrzyżowany z kilofem. Pas ten utrzymuje również czarny, okrągły fartuch skórzany, zachodzący okrągławo ku przodowi, zwany z niemiecka: bergledrem. Jest to ubiór powszechnie przyjęty w górnictwie, z którym się można spotkać i tam, dokąd się obecnie udajemy. A nie pożałujemy tej drogi, boć to najstarsza u nas dziedzina skarbów podziemnych, o której wzmiankę napotykamy w dziejach już zdawna.

Wymijając wtedy dawne miasteczko, teraz zaś osadę Sławków, należącą również do zachodniego okręgu górnictwa, gdzie znajduje się także kopalnia galmanu i walcownia blachy cynkowej, puszczamy się dalej przez pustą, wszelkiej prawie roślinności pozbawioną okolicę, za biegiem rzeki, a raczej strumienia Baby, ku starej siedzibie dawnych gwarków, czyli posiadaczy kopalni, gdzie zamiast węgla wydobywano ołów, a nawet i srebro.

Oto przed nami starożytne, niegdyś bardzo nawet bogate miasto Olkusz, zwane w dawnych czasach Ilkuszem, albo Ilussią. Jałowe, piaszczyste grunta, jakimi się odzna-

czają jego okolice, nie przeszkadzały bynajmniej wytworzyć się bogactwu, biorącemu początek z kopalni rudy srebrodajnego ołowiu, jakie się naokoło znajdowały. Do tego czasu jeszcze pokazują w tutejszym kościele farnym, wielki krzyż z miejscowego srebra, mający 3 stopy wysokości, ważący przeszło 40 funtów, i 7 przepysznych kielichów z tegoż kruszczu, ofiarowanych przez dawnych mieszkańców miasta. Jest to ten sam starożytny kościół o którym nie wiadomo skąd powstała legenda, iż opiera się on na srebrnym słupie. Okazały ten gmach, co z sześciu przybytków pańskich, sam jeden ocalał, jest cenną pamiątką z XIV-go wieku. Wnętrze jego zawiera dziś jeszcze wiele kosztownych ozdób, świadczących o możliwości byłych parafian. Na nieszczęście jednakże owi parafianie składają się po większej części z gwarków, czyli jak o tem już wyżej była wzmianka, właścicieli częściowych oddziałów kopalnianych, którzy za opłatą do skarbu podatku zwanego *olborą*, eksploatowali żyły rudy srebrodajnej na własną rękę, nie zawsze trzymali się dróg prawości i cnoty, lecz przeciwnie wskutek chciwości, krzywdzili ubogich robotników, i zapomnieli o najświętszych obowiązkach względem Boga i bliźnich.

(d. n.)

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Szedł jednak śmiało przez długi szereg krużganków zamkowych, a porozstawiane stráže witały go z uszanowaniem. Wreszcie pacholek, stojący przy antykamerze, drzwi przed nim na rozcież otworzył, ale Gara, który snadź nie dokończył rozmowy ze sobą, stanął nagle i głęboko się zamyslił.

— A Hunyad? — przemknęło przez jego głowę.

I na myśl tę powieki znów zaczęły mu drgać nerwowo; przymykał je i otwierał, jak gdyby w tej chwili czuł jeszcze na sobie wzrok przenikliwy szlachetnego wodza i przed tym wzrokiem chciał myśli na ruchliwej swej twarzy zamaskować.

— Stanowczo, nie wyleczono mnie jeszcze z owej drgawki — rzekł sobie; mimo to pomiędzy myślą o chorobie a innemi rozpiekającymi piersi i głowę Gary, nazwisko „Jan Korwin Hunyad”, płatało się, jako groźna, nie dająca się odstrząsnąć zmyślina.

Zadumę jego i nurtującą go troskę wewnętrzną przerywały rozkazy, wydawane jednym tchem przez Elżbietę:

— Przywołać mi Jana Rokicanę, Iiry (Jerzy) Podjebrad niech zaraz przychodzi! Ty bież do złotnika, niech się tutaj stawi! Frau Cirna niech szykuje płaszcz koronacyjny najjaśniejszemu panu, synowi naszemu Władysławowi. Pogrobowcowi, na szatki dziecięce zarzucić płaszcz królów węgierskich. Dwór mój niewieści niech się szykuje na uroczystość. Na rynku przed ratuszem, lud niech się zbierze, albo nie, w Albie Reginie, tamże kościół ozdobić i tron w nim wzniesić, a wysoki...

I tak dalej i dalej, bez ładu i składu wydawała rozkazy, chodząc swoim zwyczajem szybko po komnacie i wymachując rękami, stosownie do wyrzucanych z ust wyrazów.

Dworacy tymczasem stali tuż przy drzwiach i z pochylonemi głowami słuchali tego potoku słów, z których na dobre nic nie rozumieli. Po niejakijs chwili czy głos zmęczony odmówił posłuszeństwa, czy w ustach i gardle tak jej zaschło, że dalej już rozkazów wyrzucać nie mogła, dość, że zamilkła na chwilę, a stanawszy przed szeregiem dworzan,

spojrzała na nich, jak gdyby chciała się przekonać, czy rozumieją i spełnią gorliwie rozkazy.

Nagle oczy jej zapalały gniewem, chciała krzyknąć, lecz złość zaparła głos w gardle. Zatrzymała się więc przed dwoma stojącymi obok siebie młodzieutkami dworzanami, tupnęła silnie nogą i syczącym głosem zawołała:

— Czemu tu jeszcze stoicie.

— I nie czekając odpowiedzi, wołała dalej wciąż syczącym głosem:

— Biedrzych, ruszaj mi zaraz do biskupa!

— Tosz, zabieraj się zaraz do hetmana czeskiego Iiry, a nie wracać mi bez nich — dodała już czystszym, choć jeszcze nieco chrapliwym głosem.

I dalej chciała rozkazy wydawać, ale Biedrzych wziął jakoś na odwagę i przerwał:

— Najjaśniejsza pani, jego excelencya, Jan Rokicana wyjechał dziś wczesnym rankiem z powrotem do Czech.

A zaraz za nim Tosz zdążył wtrącić swoje usprawiedliwienie:

— Najmiłościwsza królowo, młody hetman czeski Iiry sprawia sąd mirny w Albie.

— Ja was nie pytam dokąd pojechali, tylko każe zanieść moje rozkazy, a...

Nie dokończyła jednak rozpoczętego wyrazu, bo z za opony ukazał się Miklos Gar.

Zostawił on opończę przede drzwiami, trzymał tylko w jednej ręce dwa misterne pudełka, w drugiej zaś czapkę okragłą z ozdobnym piórem, którą kłaniał się do stóp Elżbiety, mówiąc z układowym uśmiechem prawdziwego dworaka:

— Może na tem bezrybiu, ja pokorny i najniższy sługa najjaśniejszej pani przydam się nieco...

I nachylony ku ziemi czekał na odpowiedź. Niedługo jednak czekał.

Elżbieta, ujrawszy przychylnego swojemu domowi sprzymierzeńca i wiernego stronnika cesarza, klasnęła w dłonie, a na twarzy, przed chwilą chmurnej i zagniewanej, błysnęła radość.

— Witajcie, Miklosie Garo! spadacie jak z nieba, pomożecie mi w moich kłopotach. Ta cała zgraja czyha tylko na moją zgubę, drażni nieposłuszeństwem — poczęła rozwodzić się ze zwykłą sobie gadatliwością.

Na twarzy pochylonego wciąż Gara znać było pewne zniecierpliwienie, i powieki drgać mu poczynęły.

— Precz mi stąd! — rzekła wreszcie Elżbieta do słuchającej, a prawdopodobnie nie słyszającej potoku jej słów rzeszy dworaków.

Ostatnie jednak wyrazy usłyszeli odrazu, i w mgnieniu oka nikogo już w komnacie nie było.

— I cóż, i cóż? — rzekła skwapliwie królowa, wchodząc po trzech stopniach na wysokie z rzeźbionem oparciem krzesło. Gdy ją gniew nie unosił, siadała tam zwykle, a chociaż nigdy do końca nie mogła wysłuchać sprawozdania, z początku jednak z całą powagą i majestatem spoglądała na mówiącego. I teraz też, splótłszy dłonie, podniosła głowę i rzekła:

— Przybliżcie się, Miklosie Garo!

Gar cofnął się jeszcze o krok jeden, wyprostował, i, jak nakazywał obyczaj dworski, posuwistym krokiem zbliżył się do tego improwizowanego tronu. Stanawszy zaś we właściwej odległości, przyłożył prawą rękę do serca i na znak uszanowania i całkowitego posłuszeństwa schylił znów głowę. Potem przykląkł na jedno kolano, u stóp królowej złożył dwa niewielkie, w drogą skórę oprawne pudełka.

— Cóż mi przynosicie? — spytała Elżbieta, spoglądając ciekawie.

— Najjaśniejsza pani, królowie czescy i węgierscy nie gardzili, gdy im poddani ośmielili się przynosić podarki, nie gardzicież i wy gościńcem, który sługa wasz ośmielił się przynieść z podróży.

Elżbieta uśmiechnęła się łaskawie i wyciągnawszy rękę, rzekła:

— Nigdy przychylnością przyjaciół naszego domu nie gardzę.

Gar podniósł pudełka, nacisnął sprężynę jednego i drugiego i ze zrećznością jubilera, okazującego świetność wystawionych na sprzedaż klejnotów, migotał przed oczami ołśnionej ich blaskiem królowej.

Blask ten skutecznie podziałał na chciwą niewiastę. Elżbieta, siedząca dotąd z wielką powagą na swem królewskim krześle, teraz nie mogła powstrzymać żądy posiadania pięknych błyskotek. Wyciągnęła po nie chciwie dłonie, a potem, zerwawszy się szybko z siedzenia, gwałtownym ruchem pochwyciła z rąk Gara obadwa naraz pudełka.

Gar nie mógł powstrzymać wzgardliwego uśmiechu.

— Dwie korony trudno udźwignąć! — rzekł, podtrzymując pudełka, których rzeczywiście królowa unieść nie mogła.

Elżbiecie oczy zagrały złowrogim blaskiem, za wołała więc, nie puszczając z rąk klejnotów:

— Cóż to, przymówka?

Lecz Gar ułożył już twarz do najgłębszej pokory, usta ozdobił najdobroduszniejszym uśmiechem i rzekł głosem, w którym nie można było podejrzewać ani cienia fałszu:

— Słowa moje względem najjaśniejszej mojej królowej i najjaśniejszego jej syna, a miłościwie mającego nam panować króla, brzmią zawsze tylko szczerością, bo pochodzą z serca oddanego im służy.

A uderzywszy się w piersi, dodał:

— Tak mi Panie Boże pomóż!

Ale Elżbieta może nawet nie słyszała tych pięknie brzmiących wyrazów. Dźwignawszy z trudem pudełka, ustawiła je na stojącym tuż stoliku, przypatrując się z lubością migotliwym blaskom klejnotów. Rzeczywiście podarek był istic królewski.

Elżbieta wyjęła z jednego pudełka pyszny dyadem, zrobiony w kształcie korony, na której, ujęte w delikatną złotą oprawę, łamały się tysiącem świateł rubiny i opale, idąc o lepsze z otoczeniem brylantów. Chwilę migotała sobie niemi przed oczami, uśmiechając się przytem radośnie, potem nagłym ruchem zrzuciła z głowy czepiec i włożyła dyadem. Czarność włosów królowej podniosła jeszcze blask drogich klejnotów.

Z kolei wyjęła z drugiego pudełka maleńką koronę. Było to prawdziwe cacko jubilerskiej roboty, przeznaczone dla spoczywającego w kolebce króla. Elżbieta, przypatrując się temu wspaniałemu klenotowi, przechylała na wszystkie strony głowę, przyczem dyadem na jej głowie mienił się tysiącem świateł i odbijał w drogich kamieniach korony, przeznaczonej dla jej syna. Nagle zapomniawszy o danym przed chwilą rozkazie, żeby się nikt nie pokazywał w komnacie, zawołała:

— Czemu zabrali stąd najjaśniejszego królew... króla! — poprawiła zaraz swoją omyłkę.

— Widzisz, chcą go pozbawić korony! — rzekła, zwracając się do Gara.

Gar, który przez czas przymierzania przez królowę

klejnotów, patrzył na nią ze swoim zwykłym pogardliwym uśmiechem, na pierwszy ruch jej odsunął nieznacznie pokrywającą drzwi oponę i szepnął będącemu na służbie dworzani nowi, ażeby sprowadzono dziecko.

Teraz więc na skargę królowej odpowiedział tylko głębokim ukłonem, wskazując wchodzącą niankę ze śpiączcem dziećciem na rękę, za którym ukazał się cały jego dwór niewieści. Elżbieta, przypomniawszy sobie królewską powagę, weszła znów pompatycznie na krzesło tronowe i skinięciem dłoni przywołała do siebie niankę, trzymającą uspięnego królewicza.

Zadaśana twarz Gierdy świadczyła, iż niechętnie spełniała ten rozkaz; pamiętna jednak przestróg ochmistrzyni, trzymała język za zębami, chociaż z poruszania ciągłego ust znać było, że miała wielką ochotę po swojemu zawołać:

— Dajcież pokój z temi ceregielami!

Elżbieta tymczasem uniosła główkę syna, włożyła na nią koronę, a raczej wtoczyła ją pomiędzy poduszki, kryjące królewskie niemowlę. Przy tej czynności jednak dziećci zaczęło się budzić i słabym dopominać głosem, aby mu nie przerywano spoczynku. Gierda zaś zapomniawszy o wszelkich przestrozach i względach, usunęła się ze stopni i zaczęła huśtać męczone ciągłą troskliwością o jego królewskość — dziećci.

Elżbieta zerwała się znów ze swego tronu i pobięła za nią, wołając:

— Jak śmiesz usuwać się, nie czekając mego rozkazu!

Dziećci, przerażone tym nagłym krzykiem, drgnęło i zbudziło się z gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

Pani Cirna wraz z całym dworem otoczyła płaczącego malca a Gierda nie mogąc dłużej w swoim milczeniu wytrzymać, zawołała z rozpaczą:

— Alljon meg o ördög! *).

I właściwym sobie ruchem ramienia opędzała się natrętnej rzeszy, zmierzając ku drzwiom i huśtając rozplakane niemowlę.

Gar, widząc, na co się zanośsi, zastąpił drogę zdążającą ku drzwiom królowej, a schyliwszy się w głębokim ukłonem, rzekł stanowczym głosem:

— Wszak najjaśniejsza pani chce widzieć jak najspieszniej koronę Czech i Węgier na główce swego dostojnego syna?

— Choćby jutro, choćby dziś jeszcze! — zawołała Elżbieta.

— Stanie się według rozkazu jej królewskiej mości! — odparł, schylając głowę.

I przyłożywszy prawą rękę do serca, lewą trzymał bogatą swą czapkę, a składając nią tuż przy ziemi ukłony, cofał się ku drzwiom. Wkrótce zniknął za niemi, zostawiając płaczącego królewicza i cały dwór jego na pastwę wybuchów złego humoru królowej matki.

*) Idźcie do dyabła!



Kościół św. Augustyna.

III.

Jan Hunyad tymczasem nie zaspiał swej sprawy, a raczej sprawy swojego narodu. Opuściwszy zamek królewski, skierował się wprost ku bramom miasta. Za miastem bowiem w umówionem miejscu oczekiwali go przedniejsi panowie, z którymi porozumiewał się co do wyboru króla i przyjęcia posłów z sąsiedniego kraju.

Idąc zaś, rozważał sobie rozmowę z Elżbietą, a raczej rzucone przez nią na urągawisko słowa:

— „Miasto do córki, do mnie niech swaty obróćą”.

Dziesięciu mężów równych wiekiem Hollosowi ciekawie zwróciło nań oczy.

— Chce koronować Pogrobowca — rzekł Hunyad.

— Nigdy! — wyrwał się okrzyk z dziesięciu naraz piersi.

— Władysław, nasz sąsiad, będzie naszym królem — zawołano zgodnie.

— Anna Albrechtówna jego żoną — dodano.

— Elżbieta Albrechtowa — poprawił Hollos.

— Co?



Wieloryb (str. 56).

Gorzko się na to wspomnienie uśmiechnął, po chwili jednak rzekł sam do siebie:

— A gdyby! stają się czasem między panującymi rzeczy nadzwyczajne i nad wyraz osobliwe, a jeżeli chodzi o szczęście narodów, trzeba przyjąć i takie.

Otrząsał się jednak na myśl takową, wszelako, gdy przybył do niepozornej, na wpół rozwalonej chaty, stojącej już poza obrębem miasta, zapukał do niej trzykrotnie.

— Kto tam? — ozwał się głos z wnętrza.

— Ha! — ożył *).

— Odpowiedziano, i wnet drzwi się rozwarły.

— Elżbieta, wdowa po Albrechcie — rzekł dobitnie przybyły.

Towarzysze spojrzeli nań takim wzrokiem, jakby chcieli powiedzieć:

— Czyś zmysły postradał?

Zrozumiał znać ich spojrzenie wódz szlachetny, bo zaraz odpowiedział:

— Nie mówię od rzeczy, jeno powtarzam to, com słyszał z ust królowej jejmości!

— Ależ to baba, a król Władysław, którego chcemy mieć na tronie, dobiega zaledwie lat młodości, ma dopiero rok szesnasty — rzekł Peter Egörey.

— Elżbieta wdowa chce mu być opiekunką — odparł Hollos z ponurym przekąsem.

*) Ojczyzna.

I zaraz dodał:

— Niema jednak czasu na próżne gadanie i powtarzanie słów popędliwej a dumnej niewiasty; jeżeli nie chcemy jej rządów, trzeba nam działać pospiesznie, Gar bowiem przybył z Niemiec, a znać miał pilne polecenie, bo, nie zdejmując szat podróżnych, dążył śmiało do kownat królewskich.

— A mrugał oczami? — spytał ktoś żartobliwie.

— O, tak, mrugał zawzięcie, znać nie wyleczyli go cesarscy doktorzy — rozśmiał się Hollos.

— Z pewnością przygotowuje jakąś matnię!

— Którą opłacze naród...

— A nawet i chytrą Elżbietę.

I na ten temat posypały się ostre, niekorzystne wyrazy dla Gara i królowej.

Hunyad przerwał tę gawędę, mówiąc:

— Tem więcej trzeba nam działać pospiesznie i dziś wiecznej nocy jeszcze wysłać do zdążających ku nam posłów młodzieńczego Władysława.

— Powiedźcie raczej: jego excelencyi kardynała Zbigniewa, w imieniu małoletniego — przerwał Janos Kopaszad.

— Zanieść odmowę zaręczyn z córką Albrechta, a wezwać mimo to młodzieńczego Władysława na tron węgierski. Gdyby się zaś nie dało inaczej, powtórzyć rzuceną chęć wydania się za niego królowej wdowy — ciągnął z pewnem zmęczeniem Hollos, nie zwracając uwagi na przerwę, jaką mu uczynił Janos.

— W każdym razie — wtrącił znów tenże — poniosą tę odmowę i propozycję do kardynała biskupa...

— A ten jako mądra głowa, uczyni, jak będzie uważał najlepiej dla swego i naszego narodu — przerwał Peter Egörey.

— Macie słusność, że „mądra głowa”, ach, i nam by się taka głowa przydała — rzekł Istvan Gyöllos!

Hollos dodał:

— I to jeszcze na karku takiego wysokiego dostojnika.

— Cóż macie biskupowi Rokicanie do zarzucenia, przecież on choć Czech, ale jakby nasz, bo z nami trzyma — wtrącił Kopaszad.

— Ach, na miłość Boga, nie wszystko przemawia za nim; wiecie, jak go cenię i jaką ku niemu pałam przyjaźnią. Lecz nie traćmy czasu na próżną gadaninę, jeno ułożmy w gładkich wyrazach odłożenie małżeństwa z Anną, a następnie prosbę, aby Władysław przyjął koronę — nalegał Hollos.

— Przecieżśmy już raz ją ofiarowali — przerwał znów Kopaszad.

— I przyjął ją, chodzi tylko o to, żeby jak najprędzej do Alby przybył i ubiegł koronację Pogrobowca.

— Jeden niemowlę, a drugi dzieciak — przerwał Hollosowi uparcie obstający przy swoim Janos Kopaszad.

— Tak, ale tym dzieciuchem będziemy rządzili my, a w imieniu syna ta szalona niewiasta, jako naturalna opiekunka i Miklos Gara, który i naród i kraj zaprzeda cesarzowi niemieckiemu — rzekł Peter Egörey.

(d. c. n.)

Kościół św. Augustyna.

Na krańcach Warszawy, w okolicach ulic: Dzielnej i Dzikiej, oddawna czuć się dawał ubogiej ludności tamecznej brak kościoła. Jeden z pobożnych obywateli miejskich, zmarły już obecnie, ś. p. Mikucki, zauważywszy tę potrzebę, pierwszy podłożył niejako podwaliny budowy świątyni w ten miejscu przez ofiarowanie na ten cel placu. Plac ten wszakże był za szczupły, odwołano się więc do ofiarności ogółu, aby go powiększyć i zebrawszy odpowiednie składki groszy wdo-

wich, zakupiono obok plac drugi. Długo stał on pustkami, i dopiero przed kilku laty po otrzymaniu pośmiertnego daru hr. Aleksandry Potockiej, rs. 300000, rozpoczęto wznosić mury, przedstawione na rycinie naszej pięknego kościoła w stylu włoskim, pod wezwaniem św. Augustyna, według planów budowniczych, Hussa i Cichockiego. Wieża jego jest najwyższą w całym w mieście. W roku zeszłym odbyło się poświęcenie nowego kościoła, braknie wszakże jeszcze wiele do wykończenia wnętrza i wiele groszy wdowich znów na ten cel zebrać potrzeba, skoro snąć minęły czasy, w których kościoły powstawały tak licznie z ofiar pobożnych pojedynczych ludzi. *).

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Po chwili, z rozmaitych kajut zaczęły się wysuwać postacie, otulone w ciepłe kożuszki i skórzane spodnie, w czapkach, które im zachodziły na uszy. Byli to Reynolds, Collin, Olaf, Józef, Rudland Syme, Sigurd, i Svolto.

— Jeszcze nie jesteśmy wszyscy — rzekł Collin i gwizdnął. Na ten głos wypadł z kajuty Cezar w towarzystwie nieodstępnego Keltie i oba psy zaczęły patrzeć w oczy Collinowi i kręcić ogonami.

— Mam nadzieję, że nie będziecie potrzebowali zjeść tych pocziwych zwierząt — rzekł śmiejąc się lord Daybreak.

— Broń Boże! Przyrzekłem ciotce, że odwiezę jej Cezara w dobrem zdrowiu, i muszę słowa dotrzymać.

Każdy z członków wyprawy miał płaszcz gumowy z kapeluszem, przyrządzonym w ten sposób, że można go było spuścić na czoło i przywiązać ponad konserwami, które miały chronić oczy od jaskrawości śniegu.

Do ochrony w czasie zawiei służył namiot lekki, ale zrobiony z tkaniny niezmiernie mocnej. W ogóle wszystko, co wyprawa brała ze sobą odznaczało się tem, że każda rzecz była przydatna i zajmowała jak najmniej miejsca. Więc zapasy żywności w postaci konserw w puszkach, bulionów twardych, esencji kawy i herbaty, dużo sucharów i mnóstwo masła. Rudland Syme zaopatrzył się w małą apteczkę podręczną i wziął trochę wódki i wina dla wzmocnienia wyczerpanych sił.

Broń wybrano jak najlżejszą, jak również narzędzia astronomiczne. Dodajmy to tego składaną łódkę i sanki, zakończymy spis przedmiotów, które Reynolds brał ze sobą na tę długą podróż..

Zapomniałem wspomnieć o worach do spania, a te jednak najbardziej zaciekały całą załogę. Uszyto je ze skór lisich, wybierając okazy ze szczególnie długim i puszystym włosem zwracając go do środka. Każdy wór mógł pomieścić trzech ludzi. Sporządzono je w ten sposób, że u góry był wielki kaptur, który w razie silnego mrozu można było naciągnąć na głowę i związać rzemykami z właściwym worem, tak, że śpiący byli całkowicie zabezpieczeni od

*) Nie często wprawdzie ale i dziś jeszcze spotkać można ludzi poczuwających się do obowiązków, jakie ciąży na tych, którym wiele dano, dowodem tego kościoły wzniesione: W Omsku, Ekaterinenburgu, Tomsku i Tobolsku, przez ś. p. Alfonsa Koziellę Poklewskiego, zmarłego w 1890 r., znanego nadto z rozwiniętej szeroko dobroczynnej działalności, jako założyciela szpitali, ochron i t. p.

chłodu. Nie groziło im wszakże uduszenie, ponieważ wiadomo, że w czasie wielkich mrozów najmniejszy otvorek przepuszcza dosyć powietrza do utrzymywania życia.

Podzielono się w ten sposób, że w jednym worze sypiali: Reynolds, Joe i Rudland Syme, w drugim: Collin, Olaf i Cezar i w trzecim: Sigurd, Swolto i mały Keltie.

Jesteśmy przy końcu czerwca, znajdujemy „Aurorę” w dalekiej północy pod 66° szerokości. Pogoda w ostatnich czasach była bardzo zmienna, i fale morskie podruzgotały lodowe pola, tworząc nietylko wielkie bryły, ale góry piętrzące się jedna nad drugą. Gdyby ich było więcej, mogłyby budzić przestrach w sercach załogi, bo żaden z marynarzy nie znajdował się jeszcze nigdy w tych stronach. Niektóre z tych brył miały barwę zieloną, co dowodziło, że pochodzą ze spodu ławicy. Straszna to musiała być siła, co je zdruzgotała! I teraz mógł powiać wiatr z południa, wzburzyć morze, a wtedy „Aurora” choć mocno zbudowana, nie wiadomo, czyby wytrzymała nacisk lodów.

Dla tych to właśnie powodów Reynolds chciał wylądować, naturalnie nie przy samych brzegach Grenlandyi, bo dzieliło ich od stałej ziemi pole lodowe, ale na ławicy.

Od chwili wpłynięcia między lodowce „Aurora” już parę razy znajdowała się pomiędzy dwiema górami, które choć jej nie zdruzgotały, osłabiły znacznie jej ściany a kapitan Reynolds i Sigurd nie mieli o mocy yachtu tak dobrego wyobrażenia, jak lord Daybreak.

Pogoda była bardzo zmienna, chociaż prawie bez wiatru. Często padał deszcz, pomieszany ze śniegiem, a bywały dnie, gdy temperatura opadała tak nisko, że obawiano się uwięzienia statku. To znów mgły zasłaniały horyzont i trzeba się było zatrzymywać z obawy rozbicia.

Czasami „Aurora” stawiała i przyjaciele nasi szli na polowanie. Olaf i Collin zabili mnóstwo fok i parę niedźwiedzi, ale nie między nimi tego, którego Olaf tak zawzięcie szukał.

Nareszcie 10 lipca wypogodziło się zupełnie, słońce wyjrzało z za mgły oświeciło daleko na zachodzie wysokie góry Grenlandyi.

Lód jednak nie dochodził do samego brzegu, pomiędzy nim a ławicą ciągnęła się szeroka przestrzeń wody, tak oddzielona od morza, że niepodobna było wpłynąć na nią statkiem. Trzeba było więc przebyć ją na łodziach, co nie jest rzeczą ani łatwą ani bezpieczną, ale przyjaciele nasi raz się wybrawszy na tak awanturniczą wyprawę nie dali się tem powstrzymać.

Reynolds wszedł na bocianie gniazdo i stamtąd oglądał okolicę. Kidy zeszedł na pokład, zastał lorda Daybreaka, który go zapytał:

— Czyż doprawdy chcecie dziś wyjechać?

— Tak, dziś przed wieczorem. Jużemy listy popisały, pakunki mamy przygotowane. Opuścimy statek pański, ale proszę wierzyć, że z żalem prawdziwym. Pan nam niezmiernie wiele życzliwości okazał.

— E! dajcie temu pokój, a pomówmy o rzeczach poważnych. Więc pan doprawdy ma zamiar dojść aż do zatoki Disko?

— Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, a co pan Bóg da, to będzie.

— Brawo! dzielny z pana człowiek. Tymczasem każę podawać obiad, bo kto wie, kiedy znowu biedacy, zasiądziecie do stołu z ludźmi cywilizowanymi.

Nastąpiło serdeczne, smutne pożegnanie.

Wszystkim pozostałym ścisnęły się serca, bo wątpili, czy zobaczą śmiałych wędrowców, którzy, nie zważając na trudy i niebezpieczeństwa, z uśmiechem na ustach ruszali w nieznane kraje.

Spuszczono łodzie, i wpośród okrzyków i życzeń poróżni przybili do ławicy lodowej. Cała załoga wyległa

na pokład i patrzyła za odjeżdżającymi, aż się skryli za wystającym cyplem.

Niema rzeczy moźolniejszej i bardziej męczącej, jak kierowanie łodzią między pływającymi lodowcami, wielu marynarzy woli znajdować się w wielką burzę na pełnym morzu, niż omijać pływające bryły, które w jednej chwili mogą strzaskać wąż łódź i zatopić załogę. Na szczęście dziś morze było prawie nieruchome i lód się nie kołysał.

Niebawem bryły lodowe zbiły się w coraz to większe gromady, Reynolds wchodził na nie, spoglądając z upragnieniem na odległy brzeg, a nieraz kiedy schodził, kazał zmienić kierunek, albo cofać się wstecz.

Była to dziwna podróż, w części wodą, w części pieszo. W jaki sposób? — zapyta czytelnik. W bardzo prosty. Nieraz znajdowali się przed tak znacznem nagromadzeniem lodowców, że zmuszeni byli wciągać łodzie na lód i przenosić je na drugą stronę, brnąć po kolana w śniegu.

Długie godziny przeszły od chwili opuszczenia statku, a położenie naszych podróżnych zamiast się polepszyć, stało się coraz gorsze. Na dobitkę zaczął śnieg padać, a horyzont zaciągnął się gęstą mgłą.

W dodatku zerwał się wiatr i poruszył fale dotychczas spokojne i Reynolds prosił tylko Boga, aby nie zerwała się burza i żeby lord Daybreak zdołał uciec na pełne morze. Chociaż wszyscy byli ogromnie zmęczeni, nie przestali wioślować. Dopłynęli w końcu do otwartego miejsca, do jeziora, które ciągnęło się na północ i na wschód. Zwrócili się więc w tym kierunku, ale po jakimś czasie Reynolds zauważył, że sięta przestrzeń powoli coraz bardziej ścieśnia, że coraz bliżej przysuwają się lodowce jedne do drugich. Nie było więc rady trzeba było łodzie wydobyć z wody. Idąc coraz dalej na wschód natrafili na drugie jezioro, znowu spuścili łodzie i płynęli po wolnym morzu, ale brzegi tak się gwałtownie zbliżały, że gdyby nie nadzwyczajna przytomność umysłu załogi, która, widząc odpływającą falę, coprędzej wyskoczyła na lód i wciągnęła za sobą łodzie, byłiby zginęli, bo bałwan wpadł gwałtownie na lodowiec z hukiem, który się rozległ na wiele mil dokoła.

— Dzięki Bogu, żeśmy tego uniknęli — rzekł Józef, drżąc ze strachu.

— Amen, — odparł Reynolds, patrząc w zadumie na borykanie się żywiołów.

Morze ucichło, fale się uspokoiły, a oni długo jeszcze nie wsiadali do łodzi odpoczywali po trudach.

— Jak myślicie, możebyśmy się herbaty napili? — zapytał Reynolds, widząc, że jego towarzysze śniegiem gaszą pragnienie.

— Doskonała myśl! — zawołał Collin — zaraz zrobimy herbatę!

Wydobyto spirytusową maszynkę i niebawem woda zaczęła syczeć. Podróżni otoczyli kociołek dokoła, grzejąc zziębnięte ręce nad płomieniem, bo choć zachowali futra i płaszcze gumowe i choć temperatura nie spadła niżej kilku stopni, chłód z powodu wiatru i mgły był przejmujący.

Po skończonym posiłku humory się poprawiły i postanowiono puścić się w dalszą drogę. Tymczasem Collin wszedł na najwyższy szczyt i rozglądał się dokoła. Musiał coś dojrzeć w stronie lądu, bo zawołał kapitana.

— Czy pan widzi tę wysoką górę o powierzchni błyszczącej?

— Widzę kilka takich gór i sądząc z bałwanów, które się o nie rozbijają, muszą być one przytwierdzone do dna.

— To dobrze, ale niech pan poszuka góry podwójnej i bardzo błyszczącej.

— Aha! jużem znalazł.

— A teraz proszę pana jakiś czas patrzeć uważnie.

— Na Boga! — zawołał, widząc, że góry nadbrzeżne zdają się zmieniać położenie. Prąd nas unosi na południe, tego się nie spodziewałem.

Było to, niestety, aż nadto prawdziwem i usiłowania naszych podróżnych nie na wiele się przydały. Jednak nie ustawiali w pracy. Korzystając z brył lodowych, posuwali

się coraz dalej na wschód, ale im bardziej w tym kierunku, tem prąd stawał się silniejszy. Coraz częściej napotykali czystą wodę, ale jeszcze wiele ławic dzieliło ich od otwartego morza, które obmywało brzegi Grenlandyi. Nareszcie doszli do miejsca tak bystrego, jak rzeka św. Wawrzyńca o parę mil ponad Niagarą, gdzie nieraz łodzie nie mogąc się oprzeć prądowi, bywają wciągnięte do wodospadu i giną.

— Nie damy rady, panie, — rzekł Józef — sił nam nie starczy.

— Nie trać odwagi, mój chłopcze, wszystko się jeszcze może zmienić.

— Jabym chciał, żeby się prąd zmienił.

— I to być może, niech się tylko dostaniemy bliżej brzegu.

Słowa kapitana dodały otuchy zmordowanej załodze. Ciągniono łodzie po zamarzniętych bryłach lodowych. Ale dokąd to ich doprowadzi? Do otwartego morza. Tak myślał Reynolds, a z nim jego towarzysze.

— Za godzinę, a najdalej za dwie dojdziemy do wody, o tem nie ma najmniejszej wątpliwości. Naturalnie spotkamy jeszcze niejedną górę lodową, ale ujrzymy przed sobą Grenlandyę, naszą ziemię obiecaną. A choć nas prąd niesie na południe, damy sobie z nim radę. Co to jest Sigurdzie? Dlaczego jesteś taki milczący?

— Bo nie mam tej nadziei, jaką pan ma.

Wszyscy z niepokojem i ciekawością spojrzeli na marynarza, bo żaden z nich nie miał tego doświadczenia, co on, a Sigurd widząc utkwione w siebie oczy, rzekł:

— Co pocniemy, jeżeli spotkamy przy brzegu ławicę lodu, zbyt drobnego, aby po nim ciągnąć nasze łodzie?

Podróżni spowaźniali, jeden tylko Reynolds nie stracił rezonu.

— Jeżeli trafimy na taki lód, to popłyniemy dalej na północ, a w końcu musimy znaleźć jakiś sposób, aby się dostać na ląd, i tam sobie odpocznemy.

— Hurra! — zawołał Collin — to będzie wybornie.

Jeden tylko Sigurd nie dowierzał.

VII.

Bóg dał człowiekowi panowanie nawet nad falą. — Strasna noc.

Po godzinnej podróży już nawet Reynolds stracił nadzieję, że się dostaną do brzegu, bo natrafili na ławicę lodu, o jakiej nawet Sigurd nie myślał, przestrzegając przed wycieczką.

Jakiegoż to był rodzaju lód? Postaram się wam opowiedzieć jak można najjaśniej. Najłatwiej będzie porównać go z lodem, na jakim się obecnie znajdowali.

Bryły te dochodziły do czterdziestu stóp kwadratowych powierzchni, niektóre były płaskie, inne miały pagórki na grzbietach, a wszystko to przykrywał twardy, ubity śnieg.

Tymczasem pole lodowe, które mieli przed sobą, składało się z odłamków wielkich gór nieregularnych, śliskich, zbyt małych, aby utrzymać ciężar ludzi i czołen, a zbyt gęsto

rozsianych, aby się można przez nie precyzyjnie narażać na śmierć niechybną.

Sigurd jeszcze raz potrząsnął głową i wszystkich oczwrociły się na kapitana Reynoldsa, który się pomimo to wszystko uśmiechał.

— Żle się dzieje, nieprawdaż? — rzekł Collin.

— Zdaje się, ale bądźcie dobrej myśli, jesteśmy w rękOpatrzności, Ona nam zginąć nie da.

(d. c. n.)

WIELORYB.

Rycina nasza przedstawia jednego z olbrzymów zwierzęcego świata. Przyrodnicy odróżniają kilka gatunków wielorybów, większa ich część żyje w morzach podbiegunowych, tak zaś zwane Pottwale, czyli Kaszaloty zamieszkują morzgorącej strefy.

Wieloryb grenlandzki ma około ośmnastu metrów długości, a zamiast zębów w paszczy—listwy fiszbinowe, z podniebienia aż na zewnątrz wystające; liczba ich do czterechset dochodzi, a środkowe mają około czterech metrów długości. Oddychają nozdrzami, wysoko na głowie umieszczonemi. Ogromne to zwierzę żywi się drobnemi mięczakami i polipami, a łatwo sobie wyobrazić, jak wielką ich ilość pochłonać muszanim się nasyci, skoro waży 3,000 cetnarów, to jest tyle, co sześćdziesiąt średniej wielkości słoni. Dla chwytania zdobyczy wieloryb pływa po powierzchni wody z otwartą paszczą tak wielką, że jak utrzymują, łódź z ludźmi mogłaby się w niej pomieścić; nie mógłby jej jednak połknąć, z powodu wazkiego bardzo przewodu pokarmowego. Gdy spokojnie płynie, przebywa w przeciągu godziny cztery mile morskie, ale gdy się czego zleknie, choćby przelatującego ptaka, wówczas próje fale z niesłychaną szybkością. Samiec tylko w obronie swych małych nabiera odwagi i jednym uderzeniem ogona wyrzuca w powietrze łodzie z ludźmi. Igrając z sobą, wieloryby skaczą ponad fale i biją ogonem o wodę z taką siłą, że uderzenia te słychać na milę odległości. Skóra tych potworów z wierzchu czarna, pokryta jest wewnątrz ogromną ilością tłuszczu, który zarówno jak fiszbin, jest przedmiotem handlu. Dziś w polowaniu na wieloryby posługują się najczęściej torpedami, pierwiej do tego używano harpunów, to jest pocisków ręcznych na sznurze. Wieloryb raniiony zanurzał się szybko w wodę, ale oszczep tkwiąc w ranie, ciągnął za sobą linkę. W taki sposób wieloryb ugodzony kilkakrotnie, tracił w końcu siły i martwy na powierzchni wody wypływał. Załoga okrętowa wówczas, przyciągnawszy zdobycz i przymocowawszy ją łańcuchami do okrętu, zbierała z niej tłuszcz i fiszbin, a resztę zostawia na pastwę ptaków i rybom. Podobne łowy wytępiają wieloryby, które przed chciwością ludzką cofają się w najodleglejsze strony północnych oceanów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Dwie babunie, wiersz (z ryc.) — Na ziemi i pod ziemią. — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Kościół św. Augustyna (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego. — Wieloryb (z ryc.) — Dodatek: Co to jest bieda? wiersz przez Zofię Mrozowicką (z ryc.) — Urojone strapienia. — Bracia jaszczurkowie. — Zamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

CO TO JEST BIEDA?

Mania: Powiedz mi, Zosiu, co to jest bieda?

Zosia: O, to się łatwo powiedzieć nie da,
Bo tyle, tyle rzeczy na świecie
Możnaby biedą nazywać przecie:

Kazia: Bieda, na przykład, kiedy nam pani
Zada za lekcję wierszyki trudne.

Józia: A dla mnie bieda, kiedy mi każą
Grać pół godziny te gamy nudne —
Brr! obrzydliwe!

Zosia: A jeśli kiedy
Przez trzy dni z rzędu brzydko na dworze,
To czyliż niema w tem także biedy?
Człowiek wychylić nosa nie może!

Janka: Nie, taka przykreść to co innego!
Znam i ja trudne wierszyki, gamy —
Lecz bieda musi być coś strasznego,
O czem pojęcia nawet nie mamy!
Spotkałam wczoraj dziewczynkę małą,
Trzęsła się z zimna, a taka biała!
Twarzyczkę miała prawie zsiniałą.
Bona, co ze mną szła, opowiada,
Że takich dzieci biednych, zgłodniałych,
Żyją po świecie setki, tysiące!
Nieraz nie jedzą nic po dniach całych,
Drętwieją z zimna, jak ptaszki mrące...
I to podobno, to ma być bieda!

Zosia: Ach, prawda, Jańciu! i ja już przecie
Takie widziałam.

Kazia: Więc ich tak wiele?
Czemuż ich mama jeść im co nie da?

Józia: Ich mama może na tamtym świecie...

Zosia: Ot i dziś idąc na pensję z rana,
Czyście widziały, tam przy kościele
Dziewczynka, w nędzny łachman odziana,
Za rękę z sobą wiodła chłopczyka
Jeszcze mniejszego: ot tyci! tyli!

Mania: Wiem, wiem! ten chłopczyk nie miał płaszczyka.
Mówił, że głodny, płakał..

Kazia: Mój Boże!
Co też tam oni robią w tej chwili?

Józia: Tam ciemno, straszno tak na ulicy,
Czy też są w domu już o tej porze?

Zosia: Może w uliczkach ciemnych zbłądzili?

Józia: Może gdzie weszli do kamienicy
A stróż niedobry miotłą ich pędzi...

Mania: A może tylko się przytulili
Gdzieś tam na rogu, u ścian krawędzi.

I wśród zamieci sami tam stoją,
I ciemnej nocy, wichru się boją.

Janka: Gdybyż przynajmniej oni wiedzieli,
Że koło dobrych i grzecznych dzieci
Zawsze na straży stoją anieli,
Mniejby się bali w straszej zamieci!

Zosia: Ale im może nikt nie powiada
O dobrym Bogu — nikt ich nie pieści...

Janka: O moje drogie! jakbym ja rada,
Ledwie się chęć ta w sercu pomieści!
Jakbym ja rada, dla takich dzieci
Mieć jaką izbę, dużą i jasną,
Gdzieby się mogły rozgrzać zziębnięte.

Mania: A w niej książeczki, obrazki święte...
I duży, taki ot, bochen chleba!

Janka: Jużbym skarbonkę oddała własną!...
Lecz na to pewnie więcej potrzeba...

Kazia: O, stokroć więcej!

Janka: Ale znów przecie,
I dobrych ludzi nie brak na świecie;
Niech każdy grosik choć jeden rzuci
Dla opuszczonych, małych nędzarzy!
Ten grosz nie zginie! on mu się wróci
Uśmiechem szczęścia na dziecka twarzy!

Zosia: O tak! wspólnymi siłami może
Byłoby łatwo spełnić, mój Boże,
Pragnienie nasze takie gorące:
Dostarczyć biednym dzieciom ochrony!

Wszystkie razem:

Choć biednych dzieci ponoś tysiące,
Lecz dobrych — dobrych pewno miliony!

Zofia Mroczowicka.



UROJONE STRAPIENIA.

(Dokończenie).

— Ach, żebyż tato wracał prędzej — odpowiadał Janio — możebyśmy znowu mieszkali w tym pięknym, ciepłym domu. A tutaj tak brzydko, tak zimno.

Chłopczyna zadrżał, wymawiając te słowa, i zaraz potem zakaszał chrypliwym, przeciągłym kaszlem.

W tej chwili otworzyły się drzwi, i mama ukazała się w progu.

— Kto to kaszłał? — zapytała zmienionym głosem, wodząc po nas niespokojnymi oczyma.

— To Janio, zdaje mi się — odrzekła Józia.

Matka szybko zbliżyła się do chłopczyny i dotknęła jego główki, a potem ze wzrastającym niepokojem chwyciła go na ręce.

— Janio ma gorączkę i jest mocno chory — zawołała — trzeba natychmiast położyć go do łóżka i posłać po lekarza. Czemu tu tak zimno? — zwróciła się z zapytaniem do Małgorzaty.

— Nie było drzewa, pani — zaczęła się tłumaczyć Małgorzata.

— O biedne dzieci moje! — zawołała matka i, poleciwszy Małgorzacie zajęcie się Janiem, wybiegła do miasta dla kupienia potrzebnych rzeczy.

W kwadrans potem chłopiec przyniósł koszyk, w którym, oprócz wiązki drzewa, znaleźliśmy, z wielką radością, cukier i świeże bułki do herbaty.

Za chwilę buchnął ogień na kominku, i zawinęliśmy się z Małgorzatą około przyrządzenia herbaty.

Wkrótce wróciła mama, prowadząc z sobą lekarza, który, posłyszawszy kaszel Jania, oznajmił, że to jest krup, choroba bardzo niebezpieczna, przepisał lekarstwo i zapewnił, że nad ranem dowie się znowu.

Mama i Małgorzata całą noc czuwały przy Janiu, mnie do dwunastej tylko pozwolono pozostać.

Nazajutrz skoro się obudziłam, pobiegłam natychmiast dowiedzieć się do Jania i znowu się zdziwiłam i przeraziłam, że choroba tak szybko postępuje. Wczoraj jeszcze mógł siedzieć, bawić się, a dzisiaj rzucał się rozpálny po łóżeczku, kaszłał okropnie i chwycił się za piersi, jakby go coś dusiło. W chwilach spokojniejszych wołał taty i prosił ciągle, aby go prędzej wynieść z tego brzydkiego i zimnego domu.

Przyjechał lekarz i powiedział, że niema nadziei. Cały dzień spędziliśmy przy jego łóżeczku.

Mama była biała jak trup, i ręce jej drżały, lecz umiała nie płakać, aby nie zasmucać i nie przerażać chorego dziecka; owszem, przemawiała do niego głosem wesołym i uspokajającym.

Nie będę ci, moja Toniu, opisywać boleści i łez naszych, ani tych smutnych i ponurych dni, które po pogrzebie nastąpiły.

W kilka tygodni potem mama odwiozła mnie i Józję na wieś do ciotki, gdzie miałyśmy się uczyć razem z jej dziećmi, a sama, mając tylko Kazia przy sobie, dostała miejsce nauczycielki w jednym bogatym domu.

Pierwszy to raz w życiu rozstawałyśmy się z matką.

Pojmowałam już wówczas, że na mnie leży obowiązek opieki nad Józją, która, będąc młodszą i słabego bardzo zdrowia, potrzebowała czułych starań i troskliwości, to też, całując ręce matki na pożegnanie, wszystko to jej powiedziałam.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziecię moje! — zawołała, tuląc mię w objęciu. — Bądź pewna, że twoje przywiązanie do rodziny zostanie wynagrodzone, bo zdobędziesz sobie najtrwalsze szczęście, które tylko dać może miłość ku bliźnim: spokój sumienia i zadowolenie z siebie.

Ciotka zamilkła.

Tonia chwil kilka siedziała nieruchoma, głęboko zamysłona.

Wtem zapukano do drzwi. Wszedł lokaj i zwracając się do Toni oznajmił, że nauczycielka wzywa ją na lekcję muzyki.

Tonia podniosła się, ciotka wzięła ją za rękę i przyciągając do siebie, w oczy jej spojrzała: z przyjemnem zdziwieniem dostrzegła w tych oczach wyraz dzielności i silnego postanowienia, których poprzednio nigdy tam nie było.

— Ciociu! — przemówiła Tonia — ja muszę być inną, muszę zawczasu nauczyć się zapominać o sobie, a żyć więcej dla innych, aby i na mnie Bóg nie zesłał prób tak ciężkich, przez jakie ty przechodziłaś.

Ciotka i siostrzenica długą chwilę trzymały się we wzajemnym uścisku, a następnie Tonia ochotczo odeszła do zajęć swoich.

W kilka godzin po powyższej rozmowie, kiedy się już wszyscy zabierali do spoczynku, Tonia klęczała w swym pokoju przy łóżeczku, nad którym wisiał wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego. Z niezwykłą uwagą i nabożeństwem pacierz swój wieczorny odmawiała, wpatrując się w święte oblicze i błagając Zbawiciela świata o udzielenie sił dostatecznych dla podźwignięcia się z dotychczasowych win i wykroczeń. Troskliwa matka dwa razy zaglądała do pokoiku, lecz widząc Tonie pogrążoną w modlitwie, cofała się pocichu, nie chcąc jej przeszkadzać.

Po skończonej modlitwie, Tonia z klęczków się podniosła i nie wołając wcale Anusi, żeby ją rozbierała, zaczęła się sama rozbierać. Sukienkę, zdjawszy z siebie, strząsała i powiesiła, a resztę odzienia i bielizny porządnie poskładawszy, ułożyła na krześle; nawet pończoszki podwiązkami związała.

Zaledwie kołdrą się przykryła i świecę zdmuchnęła, kiedy weszła mama, niosąc palącą się świecę. Tonia przymknęła oczy i udała śpiącą. Mama się zadziwiła, spostrzegłszy odzienie i bieliznę porządnie poukładane, bo wiedziała, że Anusi jeszcze tu nie było. Sądząc, że Tonia istotnie już zasnęła, zbliżyła się do śpiącej, zrobiła nad nią ręką znak krzyża świętego i pocichutku wyszła z pokoju.

A Toni roilo się w myśli opowiadanie cioci. Widziała wyobraźnią biednego dziadunia, opuszczającego dom i wszystko, co miał najdroższego. Następnie widziała, jak on, błakając się po dzikim stepie w niedostatku i nędzy, płakał z tęsknoty po żonie i dzieciach... Następnie stanął jej w oczach biedny Janio, miotający się w gorączce; potem Janio już leżał w trumience, trzymając w rękę obra-

...a w około świece się paliły, a w pokoju było okropnie
mno.

W tak smutnych marzeniach usnęła.

Nazajutrz rano obudziwszy się, usłyszała krzątanie
służby w sąsiednim pokoju i dostrzegła promień
słoneczny, wkradający się przez dziurkę od klucza we
zwiazach. Na dworze już szarzało; była godzina siódma.

Nie czekając, aż ją Anusia kilka razy przyjdzie bu-
zić, schwyciła się rażno z łódeczka, przeżegnała się, za-
liła świecę, bo jeszcze nie było dość jasno, uczesała
się, umyła i prędko się ubrawszy, uklękła znowu do ran-
ego pacierza. Po tem wszystkiem poszła oddać dobry
wień rodzicom i rodzeństwu.

Można sobie wyobrazić zadziwienie rodziców i wszy-
ch domowników, skoro ujrzeli TONIĘ ubraną, nie gry-
maszącą i ochotczo zabierającą się do nauki.

Cały dzień przeszedł, a Tonia ani razu nie powróciła
o dawnych skarg i grymasów. Nie usłyszała też ani
jednej bury, ani jednego strofowania.

Raz coś zachciało się jej pogrymasić po dawnemu,
ecz natychmiast przyszedł jej na myśl nieszczęśliwy
ziadunio i biedny Janio w trumience — i zaraz się opa-
niętała, zapanowała nad sobą i uspokoiła się.

Gdybyście teraz TONIĘ spotkali, tobyście się ani do-
myślili, że to ta sama, która niegdyś swem ślamazarnem
pęceniem, kaprysami i szlochami rodzicom i wszystkim
domownikom kością w gardle stawała.

Jest ona teraz ulubioną córką i siostrą, służy ją
wielbiają, a Bóg we wszystkim błogosławi. Wszyscy
sąsiedzi stawiają ją za przykład dzieciom swoim.

A jak jej samej z tem lekko, swobodnie i dobrze!

Zofia Sawicka.

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

Ale cóż, będę mam z żabami! Wiecznie się mylą
i jak przyjdzie ostatni wiersz, to zamiast „biała”, śpiewają
„zielona”. Znają tylko swoje zielone łapy, białej rączki
nie widziały nigdy; a żadna pojęcia nie ma, jak dotkliwie
obraża poetę jeden choćby wyraz przekreślony w jego
utworze.

— Dlaczego ludzie wypychają krokodyle? — spytał
Mocobój — czy może także jakie czary przez nie wyna-
leźli?

— Nie zdaje mi się — odpowiedziała żaba po chwili
długiego zastanowienia. — To prawie pewne, że gdyby
się krokodylom zachciało ludzi sobie wypychać, byłoby
to krzyku, zgorszenia, hałasu! Ot, zawsze tak bywało na
świecie i nigdy nie będzie inaczej. Hej, hej, jak sobie
pomyślę, coby to za cudowne życie było na świecie, gdy-
by ludzi nie stało!

Młodzi jaszczurkowie przysłuchiwali się uważnie
słowom cioci żaby; jeden tylko Grubosław zmrużył oczka
i smacznie sobie drzemał w swoim kąci. Dotknęło to
ciocię niemile, zaczęła się więc żegnać, a nie chcąc zmał-
twić jaszczurek, tłumaczyła się, że jej pilno do bagniska,

bo dziś koncert na dwa chóry, a szczęściem czuje się ja-
koś przy głosie. Napróżno Mocobój przymilał się i prosił,
żeby coś jeszcze opowiedziała o Blufblafie, ciocia żaba nie
dała się ubłagać i poszła do domu.

Jaszczurka urządziła dzieciom łódeczka w głębi
groty i kazała iść spać zaraz; jutro — rzekła — od rana
trzeba iść na polowanie, łapać muszki i robaczki, pilnie
pracować, byście prędko urosli na zdrowych i silnych
jaszczurków.

Dnie szybko mijały, braciszczkowie rośli i rozwijali się
w oczach. Matka nacieszyć się nie mogła ich sprytem
i zręcznością. Słuchali opowiadań cioci żaby z zajęciem
i brali do serca jej napomnienia i przestrogi. Cała
rodzina spędzała w ten sposób godziny popołudniowe
w ostrężniczowej altance; Grubosław tylko nie bardzo
zważał na te nauki: albo myślał o czem innem, albo sobie
drzemał. Bywały dni, w których słońce nie pokazywa-
ło się ani na chwilę, a deszcz padał od rana do wieczora.
Ha, wtedy biedni braciszczkowie chowali się wraz z matką
po norach i czekali o głodzie ciepłych promieni słońca.
Ciocia żaba zrzędziła i dowodziła, że taki strach przed
wilgocią jest tylko niemądrym przesądem, że młodzi
rycerze powinni się hartować i przyzwyczajać do wszel-
kich zmian powietrza; ale oni tłumaczyli się, że ten wstręt
jest im już wrodzony, a nikt przecież nie może postępo-
wać wbrew swej naturze.

Pewnego dnia, lato miało się już na schyłku, wpadł
Chyżomir prawie bez tchu do domu i z przerażeniem opo-
wiedział matce, że jakaś ogromna jaszczurka goniła za
nimi przez łąkę — pewnie chcąc ich złapać i pożreć.

— O nieszczęsne moje dziatki! — zawołała matka —
ojciec dowiedział się o waszem istnieniu; teraz już niema
dla was bezpiecznego kąci w rodzinnym kraju. Musicie
uciekać w świat szeroki i na obczyźnie szukać sobie schro-
nienia.

Biedna jaszczurka przeplakała gorzko dzień cały.
Szczęściem pod wieczór zjawiła się ciocia żaba i serdecz-
nymi słowami dodawała jej nadziei i otuchy. Jej samej
także ciężkiem było rozstanie z synami przyjaciółki; ani
przypuszczała, że się tak do nich przywiąże.

— Uboga jestem, kochane dzieci — rzekła — nie
mogę wam dać żadnych kosztowności na pamiątkę, na
srebro i złoto mi nie stać, bo urząd, który piastuję, jest,
jak wiecie, bezpłatną, honorową posadą; (a i tę mogę stra-
cić, jak mi dawny dźwięczny głos nie powróci. Już bez
porównania lepiej śpiewam, ale wszystkie tony jeszcze
nie są tak pełne i czyste, jak przed chorobą).

Owóż, co ja to chciałam powiedzieć? Dary, jakie
wam ofiaruję, są duchowymi skarbami; są to przestrogi
i nauki na dalszą drogę życia. Tych skarbów nikt wam
nie odbierze, nikt nie ukradnie, a wtedy jedynie stracą
swoją wartość, jeżeli sami nimi wzgardzicie.

Starajcie się o szacunek pocziwych stworzeń; na-
śladowujcie dobre przykłady; unikajcie podłości i tych, co ją
popędzają.

— Strzeżcie się zinnia i wilgoci! — ze łzami dodała
matka. — Zwłaszcza ty, Kłopotku; tyś taki drobny, taki
delikatny. Ach... rozstanie z tobą najsrożej mię boli.

Nazajutrz wczesnym rankiem bracia jaszczurkowie
opuścili rodzinną siedzibę.

Z początku wędrowali w milczeniu, dumając smutnie o niepowrotnie minionem dzieciństwie. Po jakimś czasie Chyżomir wyprzedził braci i zajął się polowaniem; godzina śniadania zbliżała się właśnie, a że w okolicy, którą przechodzili, nie zbywało na zwierzynię, wszyscy trzech bracia poszli za jego przykładem. Nagle usłyszeli krzyk Grubosława:

(d. c. n.)

SZARADA

Pierwsze wspan — jest to ruchu porządek odwieczny,
Jaki określa ziemi systemat słoneczny;
A kiedy w zwykłym szyku *trzecie* przy nim stanie,
Będzie to towar z wełny na ludzkie ubranie.

Drugie z trzecim, przeważnie złożone z słodczy,
Jako miły dodatek do uczty się liczy.

Wszystko wraz prując mętne oceanu fale,
Przedstawiają się oczom groźnie i wspaniale.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Warszawiak.

Początkowe i końcowe litery 13 wyrazów mają złożone nazwiska współczesnych, znakomitych ludzi, połączone spójnikiem. Znaczenie wyrazów: 1) Miasto gub. w Król. Polskiem. 2) Wyspa japońska z wielkich Kuryłów. 3) Świątobliwa córka króla węgierskiego. 4) Miasto gub. w Rosyi. 5) Miasto gub. w król. pol. 6) Dopływ Dunaju. 7) Jezioro w półn. Ameryce. 8) Miejscowość pod Warszawą. 9) Gałunek lilii. 10) Mieszkaniec państwa azjatyckiego. 11) Poeta, autor wielu dumek ukraińskich.

Sylaby: Su—i—elz—no—kiel—i—e—wi—i—chiń—
za—wał—bie—wo—ce—zar—rie—la—ris—czyk—le—rup
—ta—gród—nów—tu—nów—ski—ki.

ZADANIE KONIKOWE.

ułożył Lucio K.

	giem	ga	
Bo	ga	dziesz	na
z Bo	mo	Bez	nie
pro	doj	a	rze

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go:

Szarady: Sa — mo — cho — dy.

Łamigłówniki w kwadracie:

K a m e z a t k a
L a n g e l a n d
M a r y n a r k a
T r a p e z u n t
K r a s i ń s k i
K o s z e n i l a
A n t i k o s t i
C z e c z o t k a
G ł o w o n o g i

Skrzynka do listów.

Pierwszego listu *Warszawiaka* nie otrzymaliśmy, na drugi pospieszamy z odpowiedzią i powitaniem nowego czytelnika, którego z miłą chęcią zaliczać będziemy do stałych korespondentów. Rozwiązania wszystkie są dobre; kwadrat magiczny nazywa się dla tego, że z rozrzuconych liter w kierunku poziomym jak pionowym ten sam wyraz złożyć się powinien.

Radzi jesteśmy, że braciom *E. D.* podobają się Wieczory, że znajdują przyjemność w rozwiązywaniu szarad i łamigłówek. A jeżeli w przyszłości sami jakie zagadki ułożą, pomieścimy je chętnie, byleby tylko nadawały się do druku.

P. Wierz. Żądane książki wysłaliśmy, zeszłoroczny ilustrowany dodatek jest nam zupełnie bezużyteczny, szkoda więc kosztów na przesyłkę, może na miejscu przyda się dla jakichś małych dzieci.

Otrzymałmy również prenumeratę od *Marylki K.*, *Zosi G. Kazi C.*, *Józia i Stasia Ch.*, *Maryni* i *Ignasia B.*, i *Kazia J.* z *Humania*, któremu dziękując za życzenia, życzenia nawzajem by się pozbył lenistwa do pisania listów i od *Witolda Kalenis.*, któremu donosimy, że rocznik *Wieczorów* z 1896 roku kosztuje rubli pięć.

Magnolii posłaliśmy żądany początek powieści, rozwiązania dobre.

Od *Buńcia* i *Mani R.* rs. 3 oddano dla zakładu kalek św. Stanisława Kostki, pozostających w wyjątkowej nędzy. W imieniu obdarowanych dziękujemy pocziwym serduszkom za współczucie niedoli bliźniego.

Ryszard Łwie Serce w obydwoich listach przysłał dobre rozwiązania szarad i łamigłówek. Rozwiązania do nr. 4 zamiast do nr. 3, zostało zapewne pomieszczone skutkiem pomyłki drukarskiej. Kości, składające kręgosłup, nie są zupełnie równe, środkowe są nieco grubsze od krańcowych.

Brakujący dodatek do nr. 50 dla *Ludwika R.* wysłano.

Łamigłówniki i logogryfy ulczone przez *Z. K.* i *T. G.* jak również łamigłównik *Fiołku* z ziemi Przemyskiej o ile tylko okażą się odpowiednie zostaną kolejno pomieszczone w *Wieczorach*.

Wiersz *Stefana Z.* niestety zupełnie nie nadaje się do druku, forma, treść i ortografia wiele, bardzo wiele pozostawiają do życzenia.

Dobre rozwiązania łamigłówek przysłali jeszcze: *Trójeczka*, *Zygmunt O.* z Białej Cerkwi, *Manusia* i *Lola*, *Lilijka* i *Janek F.*

Zanadto ceremonialnie pieszysz do mnie *Perelko Uryańska*, proszę cię też na przyszłość nie nazywać mnie „panią”, któraby „raczyła” dać odpowiedź. Z radością witam wasze listy i z przyjemnością odpisuję na każdy. Bardzo się cieszę, że cię *Wieczory* zajmują i że czekasz na nie z taką niecierpliwością co tydzień. A teraz przebac mi małą uwagę, *numer* i *drugi* piszą się zawsze przez *u* nigdy przez *ó*. Może pomyślisz sobie: a to nudna ta *Jaskółka*, pierwszy raz piszę do niej, a już występuje z uwagami! Nie gniewaj się, proszę i wierz mi, że czynię to tylko z wielkiej przyjaźni i życzliwości dla was. A teraz polecam się i nadal twój pamięci, pisuj do mnie jak będziesz chciała najczęściej i bądź przekonana, że list twój zawsze będzie mile przezemnie witany.

Łamigłównik *Lucia Kojrań*, oddałam Redakcyi i prosilam aby poprawiono według wyrażonego życzenia.

Jaskółka.